665

Jak Polak pracuje

WIDZ MĘCZY SIĘ PIERWSZY

Krystyna Jagiełło

— To są kanapki na wizję? — reżyser krytycznie spojrzał na kromki z szynkową starannie ułożone na tacy w bufecie łódzkiej telewizji. — Ja tego nie biorę — rzekł — miały być tartinki.

— Ale proszę pana zrobiliśmy już 90 kanapek — zaoponował nieśmiało bufetowy.

— Mnie to nic nie obchodzi. Takiego chleba nie będziemy ćpać na wizji. Bo jak by to wyglądało. Mają być tartinki na cieniutkim podkładzie. A te buły można sobie zjeść w kuchni, jak nikt nie widzi.

— To będzie program z wyżywieniem — odezwała się Irena Santor.

— Hm. Zaraz ci powiem jak ty wchodzisz — reżyser zbliżył się do siedzącej w kącie piosenkarki. — Przedtem wchodzi Łazuka. Po prostu otwiera drzwi i wchodzi. Nikt go nie prosi, a on wchodzi, rozumiesz, jak to Łazuka. Ktoś go pyta: dlaczego pan jest taki smutny? A on mówi: widocznie mam swoje powody. I potem śpiewa: „Bogdan trzymaj się". A potem jest taka mała awanturka na piosence „O mnie się nie martw, ja sobie radę dam". I Bogdan mówi: dam sobie radę, dam. I wtedy dzwonek, wchodzi Irena Santor. Łazuka podczas całego programu boi się, żeby nie weszła Krafftówna i nie przeklęła go. I potem wreszcie już pod sam koniec programu Krafftówna wchodzi, Łazuka z początku przed nią ucieka, a potem razem śpiewają: „Przeklnę cię". Masz, pooglądaj tu sobie zdjęcia, które przyniósł fotograf, bo każdy musi przynieść swoje stare zdjęcie, ty też. Tu jest zdjęcie Krafftówny.

— Krafft słodki — uśmiecha się Irena Santor — ale kiedy Krafft nie jest słodki.

Wszyscy proszeni do studia. Godz. 12.00. Rozpoczyna się próba programu telewizyjnego z cyklu: „Piosenki 30-lecia". Barbary Krafft jeszcze nie ma. W sobotę wieczorem występowała na koncercie w Toruniu, w nocy dobiła do Warszawy. Spakowała walizkę, o czwartej poszła spać, o szóstej wstała, by zdążyć na pociąg do Łodzi. W niedzielę miała jedną próbę telewizyjną, dziś, w poniedziałek następną. Tego wszystkiego zdążyłam się dowiedzieć przez telefon, kiedy prosiła mnie zmęczonym głosem: nie umawiajmy się przed próbą, niech mnie pani nie pogania, bo ja i tak wiecznie się śpieszę.

— Proszę państwa o maksymalne skupienie — reżyser zwrócił się do obecnych w studio — bo jestem przeziębiony i po prostu stracę gardło za godzinę.

Program pt: „Świąteczna wizyta" odbywa się w mieszkaniu dyrektora szkoły. W rogu kanapka ze stolikiem. Obok akwarium, na którym stoi wspaniały okręt żaglowy. Dyrektor wita wchodzących aktorów — swoich byłych uczniów. — Ledwośmy dojechali, panie dyrektorze, co za czasy.

— Róbcie to czysto — wtrącił reżyser.

Po chwili dzwonek. — Jeszcze nie — krzyczy reżyser — jak to nie — odzywa się ktoś zdziwiony, przecież w tym miejscu nie mamy już tekstu.

— Mówiłem przed chwilą, że tu wchodzi mały komentarz, nie słyszycie, bo gadacie.

Ktoś podbiega do mnie zdyszany. — Dzień dobry, lecę się przebrać. Barbara Krafftówna.

Tymczasem przerwa. Krafftówna w wieczorowej sukience niesie z bufetu talerz gorących flaków. — Chyba szlafrok założę, bo przecież się pobrudzę — mówi. Pobiegła do garderoby. Po chwili już w szlafroku, znad talerza westchnęła: dwa dni tracę, żeby przez trzy minuty zaśpiewać na wizji jedną piosenkę. Uważam zresztą, że wczoraj przyjechałam tu zupełnie niepotrzebnie. Widzi pani, to już jest taki zawód. Propozycja wystąpienia w tym programie dotyczy zaśpiewania starej piosenki. Ale piosenki, która nam przypomina „Kabaret Starszych Panów", świetnej piosenki zresztą. Więc śpiewam ją chętnie. W telewizji łódzkiej miałam na wiosnę program z cyklu: „Spotkania z aktorem". Program świetnie zorganizowany. Ale to była robota. Aktora wspomaga na scenie towarzystwo drugiego aktora, nawet konferansjera, bo uwaga reżysera skupia się już i na tym drugim człowieku. A w tym wiosennym programie przez godzinę występowałam sama. Wszystkie światła na mordercę! Nie ma pani nawet pojęcia, jakie to jest okropne. Napięcie, koncentracja uwagi maksymalna. W teatrze chroni nas kostium, przyćmione światło. To jest czwarta ściana. No, oczywiście są takie przedstawienia, gdzie jej nie ma, np. piękne skądinąd „Dziady" reżyserowane przez Swinarskiego. Nie chciałabym w nich grać. Tam obowiązuje bezwzględny reżim artystyczny. Dla mnie najgorsze są kabarety. Bardzo lubię w nich występować. Ale człowiek jest w nich zdany wyłącznie na siebie. Nie ma suflera, nie ma tej, jak powiadam, czwartej ściany. Aktor i widzowie. To ma też swój smak. Zwłaszcza w dobrym kabarecie, jakim jest „Pod Egidą".

— Tak, lubię chodzić do teatru, ale moje spojrzenie jest już niestety profesjonalne.

— *Nigdy nie zazdrości Pani nikomu dobrej roli?*

— Nie. Przeciwnie. Raczej jestem obciążona własnymi doświadczeniami.

Podchodzi Łazuka. — Słuchaj, kotku — zwraca się do Krafftówny — ty mnie trzymasz na wzroku, rozumiesz i wtedy ja tu idę. A potem zaczyna się piosenka.

Milczenie.

— Widzę, że dawno nie występowałaś w telewizji i szukasz podtekstów — uśmiechnął się. Wymieniają uwagi dotyczące techniki swojej pracy. Tej dziwnej pracy, o której mówi się słowami brzmiącymi nieraz głupio. Bo jak nazwać robotę nad wrażeniem lub emocją, której dostarczyć ma aktor. Jak opracować technikę wzruszania i jak opowiedzieć o tym, żeby to było do sensu? A przecież istnieje sposób na człowieka, sposób doprowadzania go do śmiechu i do łez. Aktorzy o tym wiedzą. Kiedyś mówiono o nich: komedianci. Coś z wiecznej komedii pozostanie zawsze w ich zawodzie. Komedii przebierania się, komedii udawania, komedii wyciskania łez ze śmiechu, gdy samemu chciałoby się nieraz popłakać naprawdę.

— *Pani syn siedzi w domu sam, gdy pani tak stale wyjeżdża?*

— Z psem. No, to już nie jest dziecko. Ma 18 lat. W tym roku robi maturę. Uważam go za człowieka samodzielnego. I odpowiedzialnego za siebie. Oczywiście czasem chciałoby się coś zwalić na mamę. To zrozumiałe. Mój syn jest płetwonurkiem. Z zamiłowania. W tym roku wybierał się na obóz płetwonurków, następnego dnia po zakończeniu roku szkolnego. Już od kilku tygodni przeczuwałam, jak to będzie wyglądać. Naszykowałam mu więc kartkę i powiedziałam: spisz sobie wszystko, co ci będzie potrzebne i przygotuj. Teraz mogę ci w czymś pomóc. Spisał. Przygotował. Ale nie spakował się. Na parę godzin przed jego wyjazdem przyszłam do domu o drugiej w nocy, prosto z kabaretu „Pod Egidą" i widzę nie spakowany plecak, obok mnóstwo porozrzucanych rzeczy. A chłopak śpi. — Oho, myślę, sobie, synek liczył na to, że mi serce pęknie i go spakuję. Zdenerwowałam się okropnie, bo zmęczenie zupełnie zwalało mnie z nóg, powalczyłam trochę ze sobą, ale pomyślałam: nie, ja go w nocy pakować nie będę. Napisałam mu wielką kartkę wyliczając co ma zrobić, łącznie z informacją, że może mnie obudzić o siódmej i dać mi śniadanie, napisałam mu: „ja także przyszłam bardzo zmęczona" i nastawiłam trzy budziki na godzinę czwartą, bo jeden mógłby go nie obudzić. O siódmej wstałam, chłopak dawno był spakowany, sądzę, że nie miał pretensji, bo w takich wypadkach chyba się nie ma pretensji, po prostu się działa.

— *Czy młodej aktorce radziłaby Pani mieć dziecko?*

— Oczywiście. To jest rzeczywistość, od której nigdy nie uciekniemy. Dzieci trzeba mieć. Dawniej istniał zresztą większy rozdźwięk pomiędzy dziećmi wychowywanymi przez rodziców tak zajętych swoją pracą jak aktorzy, a dziećmi z innych domów. Teraz ta różnica zaciera się, bo po prostu wszystkim jest ciężko.

Wchodzimy do studia. Rozlega się głos Koterbskiej: „Była noc, bez przerwy trwała noc..." Za chwilę dzwonek. W drzwiach mieszkania dyrektora szkoły pojawia się Krafftówna. Łazuka błaga dyrektora: niech jej pan nie wpuszcza, bo ona mnie teraz na pewno przeklnie. Ale Krafftówna z kamiennym spokojem idzie dalej. Po chwili razem z Łazuką śpiewają: „Przeklnę cię za twoje wiarołomstwo, przeklnę cię za twoje z nią potomstwo"... Ludzie w studio patrzą na kontrolny monitor i śmieją się. Jest godzina czwarta. Aktorzy jeszcze raz powtarzają piosenkę i próba dobiega końca.

— Proszę państwa — zwrócił się reżyser do aktorów — nie ma sensu powtarzać tego od początku, bo wszyscy wysiądziemy. Przepraszam za nerwy. Do siódmej.

O godz. 19 rozpocznie się nagranie programu, którego próba właśnie się skończyła. Potrwa do nocy.

— Chcę się zabrać do Warszawy samochodem ze Stępowskim — mówi do mnie Barbara Krafftówna — ale on woli jechać w nocy. Trochę się boję, bo tak ślisko.

— Miałam w grudniu jechać w góry — mówi przebierając się w garderobie — podleczyć trochę gardło, bo przecież my pracujemy na własną odpowiedzialność, grypa chrypa, wszystko jedno. Nauczyłam się już omijać chrypę. To jest kwestia techniki. Ale gardło od tego boleć nie przestaje. A więc miałam jechać w góry, ale nie mogłam, bo gram w „Macbecie" i „Królu Jeleniu", wzięłam więc jeszcze na dokładkę telewizję skoro już jestem w Warszawie. Tymczasem „Macbett" i „Jeleń" schodzą już ze sceny i teraz tylko telewizja mnie trzyma. Nieraz mi znajomi mówią: po co ty tyle bierzesz na siebie, niektórych ról możesz odmówić. Mogę, ale to jest przecież mój zawód, istnieje tyle form artystycznych: telewizja, film, słuchowiska radiowe, to tworzy chaos, przed którym się bronię, ale skoro te formy istnieją, trzeba je uprawiać. Choćby ten sobotni koncert w Toruniu. Mogłam nie jechać. Ale odbyło się otwarcie wspaniałej sali teatralnej, wielka uroczystość połączona z wręczaniem nagród zasłużonym, w części artystycznej odbył się prawdziwy przegląd gwiazd, skoro mnie zaproszono, poczułam się zobowiązana.

— *Jak się pani czuje w roli gwiazdy?*

— Rzeczywistość nas znów tak nie rozpieszcza. Też mam kłopoty: gdzie kupić papier toaletowy.

— *Jak Pani idzie ulicą, nie przeszkadza Pani, że się ludzie oglądają?*

— Ja się chowam za okulary. Bo jestem zdania, że ludzie chcą nas dla rozrywki, dlaczego mają mnie widzieć zmęczoną z siatką w ręku. A i mnie to nie sprawia przyjemności. To jest nieludzki zawód. Stale trzeba mieć twarz. Czasem wolę nie jeść kolacji, aniżeli iść do restauracji i grać jeszcze jedną rolę w ciągu dnia, wtedy, gdy już jestem u kresu sił.

— *Ale lubi Pani ten zawód?*

— Bardzo. Wie pani, pomimo wszystko widz męczy się pierwszy. Nas trzymają nerwy. Dlatego ten zawód tak rozwala psychicznie. Żyjemy w ciągłym napięciu. Jeżeli choć częściowo widz je z nami podziela, to jest nasze zwycięstwo. Teraz właśnie razem z Glińskim zastanawiamy się, jak tego dokonać na najbliższym wystąpieniu.

Gliński przyjechał do mnie w piątek o godz. 12, ponieważ okazało się, że w najbliższych dniach on nie ma spektaklu i ja nie mam spektaklu, więc przyjęliśmy trzy programy estradowe w kawiarni „Słoneczna" przy Grójeckiej. Siedziedliśmy razem do wpół do szóstej, potem on wybiegł, żeby wyprowadzić psa, do mnie o 6.30 przyszedł pianista i miałam próbę do programu w Toruniu, a 7.30 poszliśmy z Glińskim „Pod Egidę", gdzie była próba instrumentowa przed estradą w „Słonecznej". Jutro wieczorem występujemy.

Wyszłyśmy na ulicę. Sypał śnieg. Krafftówna wbiegła do sklepu kupić śpioszki dla znajomego dziecka. — Może jednak Stępowski da się przekonać, żeby jechać rano — rzekła zerkając na ślizgające się po jezdni samochody.

Przycupnęłyśmy gdzieś na kawie. Pytam: — *Zwłaszcza w kinie zrobiła się ostatnio moda na golizną, Pani nigdy nie występuje w takich rolach. Czy to przypadek, czy wybór?*

— Do tej pory na szczęście takich propozycji nie miałam. Nie jestem oczywiście przeciwniczką pokazywania ciała na ekranie, ale prawdą jest, że stało się to modą, czasem zupełnie przez treść filmu nie uzasadnioną.

— *Ostatnio szedł na ekranach film utrzymany w konwencji lat 30-tych, kiedy nie pokazywano miłości tak jak dziś. I kilka na siłę wciśniętych scen nagości wręcz klimat tego filmu moim zdaniem popsuło. Ale myślę, że aktorka grająca taką rolę nie ma często wpływu na scenariusz.*

— W jakimś stopniu jest to kwestia wyboru. Ale zdarza się, że reżyser nie uprzedza o swoich zamiarach i w trakcie kręcenia filmu dopisuje jakąś scenę, która wydaje mu się potrzebna. W ten sposób aktorka jest często zmuszona do zagrania sceny, której, może się zdarzyć, nie życzy sobie.

— *Sukces pozostawał chyba w kolizji z Pani życiem osobistym?*

— Można to nazwać bezustanną kolizją, albo przystosowaniem się do trudnych warunków. Bo chociaż mówi się o nas: wolny zawód, jesteśmy w pełni niewolnikami.

Aktor musi się zobowiązać, że jeśli wyjeżdża do 100 km poza miasto, zostawia adres, ewentualnie telefon, jeśli zaś rusza gdzieś poza obręb 100 km, teatr musi wyrazić na to zgodę.

BARBARA KRAFFTÓWNA

Fot. Edward Hartwig

Dochodzi szósta. Krafftówna żegna się i pędzi do telewizji na nagranie.

Nazajutrz w Warszawie przyszłam do radia o godz. 11, żeby uczestniczyć w nagraniu. Krafftówna wpadła o 20 minut spóźniona. Zdołała jednak namówić Stępowskiego, aby wyjechał z Łodzi dziś rano. Ledwie zdążyła się w domu przebrać i umyć. Barbara Wrzesińska kończyła tymczasem w studio swój dialog z Glińskim. Krafftówna wkrótce przesiadła się na jej miejsce. Mikrofon włączony, reżyser za szybą daje znak.

— Doroteo, dlaczego wydawałaś nam się tak inteligentna? — czyta Wieńczysław Gliński.

— Powiedziałeś: wydawałeś się — przerywa reżyser — przynajmniej ja tak usłyszałem. Jeszcze raz.

— Doroteo, dlaczego wydawałaś nam się tak inteligentna?

— Wydawałam się, to znaczy, że w rzeczywistości nią nie byłam?

— Zanadto tym razem zwracasz, Basiu, uwagę na interpretację. Jeszcze raz.

— Doroteo...

I tak przez dwie godziny da capo al fine ciągnął się dialog przerywany. Wszyscy już byli znudzeni, myślę, że aktorzy przede wszystkim, ale cierpliwie powtarzali te same słowa. Mają zdrowie ci ludzie, pomyślałam. Krafftówna prosto z radia pobiegła do telewizji na próbę „Domu kobiet" Nałkowskiej, w którym wystąpi, a potem wraz z Glińskim odbyli jeszcze krótką próbę przed koncertem w kawiarni „Słoneczna". A ki[illegible] o godz. 20 w kawiarni zgasło światło i zapaliły się reflektory, wbiegła na scenę lekkim krokiem 18-latki, ładna, świeża i wesoła. Zaśpiewała kilka świetnych piosenek. Dostała duże brawa i kwiaty. Po dwóch godzinach, gdy program skończył się, w pokoju kierownika przerobionym chwilowo na garderobę zastałam ją szarą ze zmęczenia. — Jestem w stanie kompletnej galaretowatości — powiedziała. W tym momencie rozległ się brzęk stłuczonego szkła. To jakiś staruszek w kawiarni osunął się zemdlony z krzesła i wybił głową szklaną ścianę. Krafftówna miała rację. Pomimo wszystko widz męczy się pierwszy. ■